

Pustka po Zdzisławie

Po kilkumiesięcznej, ciężkiej chorobie w sobotę 24 października zmarł Zdzisław Jaskuła, poeta, reżyser teatralny, dyrektor Teatru Nowego w Łodzi. Uroczystości pogrzebowe odbyły się 2 listopada na Cmentarzu Komunalnym Doły.

Urodził się 27 grudnia 1951 roku w Łasku. Ukończył polonistykę w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, gdzie trafił po usunięciu z Uniwersytetu Łódzkiego za podpisanie protestu przeciw zmianom w konstytucji PRL. Był związany z opozycją demokratyczną i środowiskiem KOR-u, a jego mieszkanie przy ulicy Wschodniej przez lata było opozycyjnym miejscem spotkań ludzi związanych z kulturą.

Jako poeta debiutował na łamach miesięcznika "Poezja" w 1969 roku, a książkowo tomem *Zbieg okoliczności* w roku 1973. Kolejne tomy poetyckie - *Dwa poematy*, *Wieczór autorski* i *Maszyna do pisania* - są uznawane za ważne osiągnięcia nurtu Nowej Fali. Razem z żoną Sławą Lisiecką tłumaczył Nietzschego i niemieckojęzycznych poetów. Redagował dział poezji w *Tyglu Kultury*, współpracował też z łódzkimi *Arteriami*.

Od lat 90. swoje życie zawodowe związał z teatrem. Kierował Teatrem Studyjnym i Teatrem Nowym w Łodzi, reżyserował (m.in. *Nie-Boska komedia* i *Faust*). W 2010 roku po wygraniu konkursu ponownie został dyrektorem Teatru Nowego w Łodzi. Rozwijał tę scenę, stawiając na nowatorskie, eksperymentalne inscenizacje, a także podkreślając na związki teatru z literaturą. Był otwarty na współpracę i przyjazny dla ludzi kultury. Takim zostanie przez nas zapamiętany.

Poniżej zamieszczamy felieton Michała B. Jagiełły poświęcony Zdzisławowi Jaskule...

Pustka po Zdzisławie

Zmarł Zdzisław Jaskuła. Nie mogę w to uwierzyć. Podobnego uczucia doświadczałem na pogrzebie Jacka Bierezina, kiedy przyszło mi być jednym z niosących trumnę.

Zdzisław był pierwszym prawdziwym poetą, jakiego w życiu spotkałem. W 1976 r. Wittek Sułkowski (też już nieżyjący - mój Boże...) zaprowadził mnie do malowniczego mieszkania na ul. Wschodniej. Z pościeli podniósł się równie malowniczy facet z włosami do ramion i wielką brodą. W pierwszej chwili skojarzył mi się z Rasputinem. Uśmiechnął się na powitanie. Jak na wielkiego chudego jegomościa o złowieszczym wyglądzie był to uśmiech rozbajający i dziecięco słoneczny. Od razu przekwalifikowałem nowego znajomego na Rumcajsa. Byłem przygotowany na rozmowę o poezji, ale srodze się zawiodłem. Po prostu napiliśmy się wina „Gellala” ze sklepu na dole, po które to wino zostałem wyprawiony. Na wypadek, gdyby sąsiadom ze Wschodniej nie spodobał się mój wygląd, miałem użyć na ulicy zakłęcia: „Od Zdzicha jestem”. Ulica Wschodnia była dumna ze swojego poety. Po kilku dniach Zdzisław zjawił się w mieszkaniu moich rodziców (byli na urlopie i pomieszkiwaliśmy tam z żoną) w towarzystwie nieznanego człowieka. O drugiej w nocy. Nieznajomy przywitał się wylewnie i poszedłem szykować zakąskę. Był to Jacek Bierezin, drugi w moim życiu poeta i równie uśmiechnięty jak Zdzisław. Obaj promienieli jakąś fajną energią. W ich towarzystwie było lekko, wesoło i abstrakcyjnie. Efektem tej abstrakcyjności był pomysł na operę „Gucwa”, nawiązującą tytułem do takich dzieł jak „Halka”, „Tosca” czy „Aida”. Tematem była nieszczęśliwa miłość młodego Plenuma, syna partyjnego prominenta, do dziewczęcia z opozycji imieniem Gućwa. Co młodszymi Czytelnikom przypomnę, że Gućwa był za PRL marszałkiem Sejmu. Planowaliśmy arię Pierwszego Sekretarza, balet ormowców, chór aktywu młodzieżowego... W pewnym sensie coś z tych rozmów wyszło - Zdzisław jako dyrektor Teatru Nowego wystawił czeską sztukę socrealistyczną „Brygada szlifierza Karhana”.

Szczególnie upamiętnił mi się Zdzisław z imprez u Witka Sułkowskiego. Do ciasnego mieszkania

przy ul. Strykowskiej przychodziły dziesiątki osób. W papierosowo-alkoholowej atmosferze rozkwitało łódzkie podziemie i rodził się legendarny „Puls”. Tłok był potworny, ludzie stali ściśnięci jak w autobusie. Co pewien czas rozchodziła się wieść, że przyszła milicja, ale nie dała rady wcisnąć się do korytarza... I w tym to rejwachu między gośćmi przeciskał się mokry Zdzisław owinięty ręcznikiem – brał u Witka kąpiele.

Ostatni raz widzieliśmy się na premierze „Akimudów” Wiktora Jerofiejewa w Nowym roku temu. I znów napiliśmy się wina.

Prawdziwi poeci tym różnią się od nieprawdziwych, że nie smęcą o bólu istnienia. Są istotami wesołymi i pełnymi radości życia. A kiedy odchodzą z życia, pozostaje po nich ta wesołość i radość. Są jak ów dzień z wiersza Baczyńskiego, który jest „żyłką słoneczną na ścianie”. Zdzisławie – gdziekolwiek jesteś z Jackiem i Witkiem, rozjaśnij sobą to miejsce! I zostawcie do przyszłego spotkania jedną butelkę „Gellali”...

Michał B. Jagiełło